



Czesław Miłosz

Bałtowie

(Zniewolony umysł R. IX)

"Jeżeli będziesz ciągle myślał o tych swoich Bałtach i o obozach, to wiesz, co się stanie?" - zapytał mnie w Warszawie mój przyjaciel od niedawna wielbiący bez zastrzeżeń mądrość dialektyczną Centrum. "Przeżyjesz swój wiek i staniesz przed obliczem Zeusa, a ten wyciągnie do ciebie palec - tu mój przyjaciel zrobił groźny gest palcem wskazującym - i krzyknie: Idiota! Zmarnowałeś życie na zajmowaniu się głupstwami!"

To prawda, że trudno mi wyzwolić się od myśli o Bałtach. Coś niecoś mogę jednak powiedzieć na swoje usprawiedliwienie. Zajmowanie się losem narodów, których ciała podeptał słoń Historii, świadczy o usposobieniu sentymentalnym i nie prowadzi na ogół do niczego - z tym mogę się zgodzić. Wściekłość, jaką się czuje, czytając pamiętniki z szesnastego wieku, w których autorzy - przeważnie księża - notują niewysłowione okrucieństwa popełniane przez hiszpańskich konkwistadorów w Ameryce, jest bezużyteczna. Nie wskrzesi ona Karaibów wymordowanych przez gubernatora Ponce de Leon ani nie poda garści strawy zbiegom z kraju Inków, ściganym w Kordylierach przez rycerzy wojujących wiarą i mieczem. Zapomnienie okrywa zwyciężonych i ktoś, kto by zbyt pilnie wczytywał się w rejestr minionych zbrodni, a co gorsza te zbrodnie wyobraził sobie w ich szczegółach, osiwiłby ze zgrozy albo stał się zupełnie obojętny. Że obszar nazywany Prusami Wschodnimi był kiedyś zamieszkały przez naród Prusów, których spotka! z ręki mówiących po niemiecku czcicieli Jezusa taki sam los, jaki spotkał Karaibów - znane jest historykom, ale w słowach historyków nie ma rozpaczki matek i cierpienia dzieci, co jest być może słuszne. Cywilizacja używająca przydomka chrześcijańskiej zbudowana została na krwi niewinnych. Szlachetne oburzenie na tych, co dzisiaj próbują stworzyć inną cywilizację, posługując się podobnymi środkami, nie jest pozbawione faryzeizmu. Kartoteki zbrodni będą przechowywane w miejscu ustronnym i bezpiecznym, a kiedy uczone przyszłych czasów sięgnie, poprzez kurz i pajęczynę, do tych tomów, uzna owe czyny za drobne występki w porównaniu z ogromem dokonanego dzieła. Bardziej prawdopodobne jest, że tych kartotek wcale nie będzie, gdyż, zgodnie z postępem, dzisiejsi władcy wyciągnęli konsekwencję z prostej prawdy, że co nie istnieje na papierze, nie istnieje w rzeczywistości.

Przypuścimy, że tak się stanie. Jednakże nasz stosunek do teraźniejszości różni się od naszego stosunku do przeszłości - czy ktoś uznaje to za wadę, czy za zaletę. Żywy człowiek, chociażby oddalony o tysiące kilometrów, nie da się tak łatwo usunąć z pamięci. Jeżeli jest poddawany torturom, głos jego dosięga przynajmniej tych, którzy (co nie jest wcale dla nich wygodne) mają żywą wyobraźnię. A jeżeli nawet ten człowiek już nie żyje, to ciągle jest to jeszcze teraźniejszość, bo ten, co go zabił czy wydał rozkaz zabicia, siedzi w jakimś punkcie kuli ziemskiej za stołem, na stole jest chleb, wędliny i herbata, a jego dzieci cieszą się przyniesionym przez niego prezentem. Wymaganie, żeby na to, co jest teraźniejsze, patrzeć jako na przeszłość i nie przejmując się, jak mówi mój przyjaciel, głupstwami, oglądać przez historyczny teleskop dojrzewające owoce jutra - jest wymaganiami surowym. Jest chyba jakaś miara, której nie wolno się pozbyć, bo w przeciwnym razie dojrzewające owoce jutra okażą się zgniłe. Fakt, że tak myślę, wynika z tego, że ostatnie dwa tysiące lat widziały nie tylko zbirów, konkwistadorów i oprawców, ale że żyli i działali ludzie, dla których zło było złem i jako takie musiało być nazwane. Masowe rzezie, terror rewolucji, oblęd złota, nędza klas pracujących - tak, ale kto wie, do jakich te klęski doszłyby rozmiarów, gdyby każdy uważał, że wypada milczeć i akceptować. Mnie się zdaje, że nie chcąc akceptować, bronię lepiej owoców jutra niż mój przyjaciel, który akceptuje. Biorę na siebie ryzyko błędu i płacę. Gdybym nie godził się na to ryzyko, zamiast tego, co piszę, pisałbym teraz odę ku czci Generalissimusa. Przy opanowaniu *métier* poetyckiego złożenie

dźwięcznego, rytmicznego hołdu osobistości wybitnego męża nie jest szczególnie trudne (praca tego rodzaju przypomina pracę nad przekładem).

Kraje bałtyckie - Estonia, Łotwa i Litwa - leżą, jak wiadomo, na skraju wielkiego kontynentalnego masywu. Zatoka dzieli je od Finlandii, Morze Bałtyckie od Szwecji. Narody, które je zamieszkują, nie są słowiańskie. Język Estów pokrewny jest z fińskim. Zbliżone do siebie języki Litwinów i Łotyszów są dotychczas zagadką dla uczonych: nie wiadomo, skąd przywędrowały te plemiona, aby osiedlić się w dolnym biegu Niemna i Dźwiny. Wiadomo tylko, że wytępieni Prusowie używali podobnego języka. Z tych trzech narodów tylko Litwinom udało się w przeszłości stworzyć duże państwo, którego granice sięgały do Dniepru, i utrzymać je przez czas pewien. Słabo zaludniony obszar trzech krajów był poddany, od chwili przyjęcia przez ludność chrześcijaństwa, silnej kolonizacji - głównie niemieckiej i polskiej. Wskutek kolonizacji powstała dwujęzyczność: istotni rządcy - a byli nimi właściciele dóbr ziemskich - mówili po niemiecku (Estonia i Łotwa) i po polsku (Litwa), częściowo dlatego, że przybysze przynieśli ze sobą swój język i obyczaje, częściowo dlatego, że miejscowe rody przejęły język i obyczaje przybyszów; lud natomiast używał języka rodzimego i przechował odrębną kulturę, wywodzącą się z zamierzchłych czasów. Po pierwszej wojnie światowej trzy kraje przestały być prowincjami rosyjskiego cesarstwa i uzyskały niepodległość. Radykalna reforma rolna usunęła wpływy właścicieli ziemskich. Narodowe języki stały się językami nowych państw, a literatura i szkolnictwo nawiązały do ludowych tradycji.

W roku 1939 ludność trzech krajów liczyła około sześciu milionów, a więc nieco więcej niż ludność Chile, nieco mniej niż ludność Szwecji. Były to kraje rolnicze, utrzymujące równowagę budżetów dzięki dobrze zorganizowanemu eksportowi bekonów, jaj, masła, zboża i drobiu do Europy Zachodniej. Pod tym względem przypominały Danię. Nie tylko zresztą pod tym względem. Kto zna styl życia farmerów, łatwo uzyska obraz egzystencji na tym nadbałtyckim terytorium. Dobrze rozwinięta spółdzielczość ułatwiała chłopu sprzedaż jego produktów. Stopa życiowa mieszkańców, sądząc z ich wyglądu, ich domów, ich sposobu odżywiania się, była wyższa niż w innych państwach Europy Wschodniej, z wyjątkiem może Czechosłowacji. Estończycy i Łotysze byli w przeważającej większości protestantami, Litwini - katolikami. Wszystkie trzy narody cechował zaciekle patriotyzm, posuwany często do szowinizmu - co znajduje wytlumaczenie w przeszłości, twardej dla tych ludów. Militarnie wszystkie trzy kraje były bezbronne.

Los trzech krajów rozstrzygał się w rozmowach pomiędzy Mołotowem i Ribbentropem. W jesieni 1939 roku Mołotow zażądał baz wojskowych. Rządy krajów bałtyckich skwapliwie udzieliły swojej zgody (prasa poświęciła wtedy wiele artykułów trwałej, niezłomnej przyjaźni z potężnym i dobrotliwym wschodnim sąsiadem). W czerwcu 1940 roku, pod pretekstem, że rządy nie zapewniają należytego bezpieczeństwa żołnierzom sowieckim stacjonowanym w bazach, Armia Czerwona przekroczyła granice Łotwy, Litwy i Estonii. NKWD objął władzę, a dotychczasowy aparat państwowy przestał istnieć.

Moja relacja o krajach bałtyckich nie jest zaczerpnięta z książek czy pism. Pierwsze światło, jakie widziałem w życiu, pierwszy zapach ziemi, pierwsze drzewo - były światłem, zapachem i drzewem tamtych okolic, bo urodziłem się tam, w mówiącej po polsku rodzinie, nad brzegiem rzeki o litewskiej nazwie. Wydarzenia te są dla mnie tak żywe, jak żywe jest tylko to, co czyta się z twarzy i oczu dobrze znanych nam ludzi.

Najazd Hiszpanów musiał być przerażającym doświadczeniem dla Azteków. Zwyczaje zdobywców były niepojęte, obrzędy religijne niezrozumiałe, drogi, jakimi chodziła ich myśl, nie do wyśledzenia. Inwazja Armii Czerwonej dla Estończyków, Łotyszów i Litwinów była nie mniejszym wstrząsem. Wprawdzie starsi ludzie pamiętali niewesołe czasy caratu - jednak to w niczym nie przypominało caratu, było stokroć gorsze. W ciągu lat, jakie dzieliły Rosję od upadku caratu, nie zbliżyła się ona do Europy, ale oddaliła - ku zasadom organizacji społeczeństw nigdy w Europie nie znanym. Myśli i reakcje zdobywców były równie obce dla podbitych, jak arkana teologii katolickiej i pojęcie kastylskiego honoru dla Azteków.

Zarządzono wybory do parlamentu. Wybory te nie przypominały jednak w niczym instytucji znanej dotychczas pod tą nazwą. Istniała tylko jedna lista kandydatów wystawiona przez nowe władze. Dlaczego więc miasta i wsie zasypane zostały ulotkami i broszurami propagandowymi, dlaczego głośniki nawoływały w dzień i w nocy, po co udekorowane portretami samochody ciężarowe, po co wieńce, wiece i trybuny? Jeżeli jest jedna lista i nie ma żadnego wyboru, to po co propaganda? Ludność nic nie rozumiała. W dzień wyborów poszła jednak gromadnie głosować. Należało pójść: po oddaniu głosu otrzymywało się w paszporcie pieczętkę. Brak takiej pieczętki w paszporcie oznaczał, że jego właściciel jest wrogiem ludu - okazał złą wolę, nie chciał głosować. Wprawdzie ludność - naiwna - starała się oddawać kartki podarte, zabazgrane, tak aby głosy okazały się nieważne. Uznawano je jednak za ważne i oznaczające "tak". Wynik był imponujący. Pierwszym aktem tak wybranych parlamentów stała się prośba o włączenie republik do Związku Sowieckiego. Prośbie tej stało się zadość.

Jednym z nowo wybranych posłów do litewskiego parlamentu był towarzysz mojej wczesnej młodości. Przeżyliśmy z nim kanadyjką wiele dziesiątków kilometrów różnymi rzekami Europy, topiliśmy się w wodospadach, wędrowaliśmy niedostępnymi ścieżkami górskimi, razem witaliśmy wschody słońca w dolinach Szwarzwaldu i między zamkami Nadrenii. Na kilka lat przed wybuchem drugiej wojny światowej stał się stalinistą. Chociaż pochodził z Warszawy i jego obecność na terenie państwa litewskiego w początku wojny była mniej czy bardziej przypadkowa, kandydatura jego została wysunięta (wobec znikomej liczby komunistów w tych krajach każdy był chętnie używany), a ponieważ wysunięcie kandydatury równało się wyborowi, został posłem. Dziwne to musiało być dla niego przeżycie: głosować za wcieleniem państwa, z którym nie łączyły go żadne związki, do innego państwa, znanego mu tylko z literatury propagandowej i urzędowych statystyk. Była to nowość, jakkolwiek odtąd miano się w Europie Wschodniej oswoić z podobnym reprezentowaniem poszczególnych krajów przez obcych, zmieniających nawet w razie potrzeby nazwiska.

Tak więc mieszkańcy krajów bałtyckich zostali obywatelami sowieckimi i musieli podporządkować się przepisom obowiązującym innych. Z punktu widzenia nowych władz ta masa ludzka, żyjąca zresztą na poziomie, w porównaniu z którym poziom życia innych obywateli Związku był nędzarski, przedstawiała się jako skandal, jako zbytek zamierzchłej przeszłości. Należało ją poddać wychowaniu. Więzienia się zapępliły, a wkrótce rozpoczęły się masowe deportacje pewnych kategorii mieszkańców do obozów pracy, kopalń i kolchozów w głębi Związku, przeważnie do rejonów polarnych. W roku 1941 obszar ten zajęła armia niemiecka. Naziści przystąpili z kolei do wymordowania kategorii ludności, którą zgodnie ze swoją doktryną uważali za niepożądaną, to jest wszystkich Żydów, niezależnie od ich przynależności klasowej, wieku i płci. Zadanie to wykonali z dużą precyzją. Równocześnie wywozili do Rzeszy dużą liczbę przymusowo werbowanych robotników. W roku 1944 kraje bałtyckie ponownie zajęła Armia Czerwona i Centrum przystąpiło do upodobnienia tego obszaru do innych obszarów państwa. Najpilniejszym zadaniem było zniszczenie dotychczasowej struktury rolnej, opartej na zamożnych gospodarstwach chłopskich. Kolektywizacja natrafiła jednak na znaczne przeszkody. Metoda "pogłębiania walki klasowej na wsi", to jest wykorzystania antagonizmów pomiędzy biednymi i bogatymi chłopami, dawała słabe wyniki; duża ilość broni pozostającej po działaniach wojennych i wyćwiczenie w partyzantce zachęcały do oporu. Chłopi uciekali w lasy i tam tworzyli zbrojne oddziały. Ekspedycje karne otaczały wsie i zabijały tych, co pozostali w domu. To wzmagało tylko opór, bo nieraz cała ludność okolicznych wsi, z dziećmi i kobietami, wołała przyłączyć się do partyzantów niż narażać się na pewną zgonę. Wobec wrogich nastrojów ludności należało uciec się do radykalnego środka, to jest do masowych obław, ładowania w wagony i wywozu na nie zaludnione obszary Euro-Azji. Lata, w których Europa Zachodnia zaczęła zażywać niepewnego i przerywanego chwilami paniki pokoju, nie były pokojowe dla krajów bałtyckich. Wsie, których mieszkańcy uciekli, zostali zabici albo wywiezieni, stały puste i obrabowane, wiatr gwizdał w wybitych oknach i wyważonych drzwiach. "Hitlerzy przychodzą i odchodzą, ale narody pozostają" - powiedział On, kiedy był już pewien zwycięstwa nad Niemcami.

W stosunku do mniejszych grup ludnościowych zdanie to powinno być raczej zmienione na inne: "Narody przychodzą i odchodzą, ale kraje pozostają". "Litwa to budiet, no Litowcow nie budiet" - powiedział w roku 1946 w rozmowie dygnitarz Centrum.

Ile ludności straciły te kraje, zanim ich gospodarza struktura została przystosowana, to jest do roku 1950 - nie wiem i chyba nikt nie zna statystyki. Wskaźnikiem mogłaby być liczba przybyszów z głębi Związku, kierowanych nakazem na miejsce opróżnione z tubylców. Proces nie jest zakończony. Na wieś przywożeni są kolchoźnicy, do miast kadry administracji i ich rodziny. W miastach słyszy się więcej języka rosyjskiego niż estońskiego, łotewskiego czy litewskiego. Wśród władz partyjnych i wyższych urzędników przeważają nazwiska rosyjskie, a z nazwisk miejscowych część jest przybranymi na doraźny użytek pseudonimami. Ludność Związku powinna być przemieszana: tylko roztapiając poszczególne narodowości "w rosyjskim morzu", osiągnie się cel - to jest jedną kulturę i jeden język uniwersalny. Terytorium łączące kiedyś państwa bałtyckie z Niemcami, to jest pogranicze Prus Wschodnich, zostało zasiedlone ludnością rdzennie rosyjską; tamtejsze większe miasto Koenigsberg, w którego murach urodził się i spędził całe swoje życie Kant, przemianowane zostało na Kaliningrad i nie różni się już od Tuły czy Samary. Z wysp położonych przy brzegach Estonii estońscy rybacy nie wyruszają już na połów. Kocioł, w którym gotują się narody bałtyckie, powinien być szczelnie zamknięty. Szkoły i uniwersytety oczywiście używają języków rodzimych. Również książki. Niszczenie narodowości nie jest przecież celem. Celem jest niszczenie klasowego wroga. Kiedy młodzież nauczy się po litewsku, estońsku czy łotewsku, jak być dobrymi patriotami Związku i jak należy cenić wszystko, co pochodzi z Centrum, język rosyjski wyjdzie zwycięsko z konkurencji i przejdzie się do wyższej fazy świadomości*.

Skądże tu powód do gniewu? Świątek krajów bałtyckich był to świątek znany z wiejskich obrazów Breughla. Ręce ściskające szklanice, roześmiane czerwone gęby, niedźwiedzia ociążała dobrodusność, cnoty chłopskie: pracowitość, gospodarność, zapobiegliwość, i grzechy chłopskie: chciwość, skąpstwo,

ciąga troska o przyszłość. Proletariat był nieliczny, przemysł słabo rozwinięty, reforma rolna rozdzieliła większą własność rolną pomiędzy chłopów. Czemuż by to miało trwać? Niewybaczalny anachronizm kulaństwa musiał być zniszczony, a stopa życiowa obniżona, tak aby zrównała się ze stopą życiową ludności w reszcie Związku. Co do drastycznych metod, to ostatecznie każdy musi kiedyś umrzeć. Załóżmy, że znaczny procent ludności został zniszczony przez dżumę, a nie przez ekspedycje karne. Z chwilą kiedy uznamy historyczną konieczność za rodzaj dżumy, przestaniemy ronić łzy nad losem ofiar. Dżuma czy trzęsienie ziemi nie wywołują na ogół oburzenia. Stwierdza się katastrofę, odkłada się gazetę i je się dalej spokojnie śniadanie. Bo buntować się można tylko przeciwko komuś. Tutaj tak samo nie ma nikogo. Ludzie dokonali tego w pełnym przeświadczeniu, że wypełniają historyczną powinność.

A jednak list, który miałem w ręku, był przykry. Pochodził od rodziny deportowanej w marcu 1949 roku z jednego z krajów bałtyckich na Syberię i adresowany był do krewnych w Polsce. Rodzina składała się z matki i dwóch córek. List opisywał sucho i zwięźle prace, jakie wykonywały w kolchozie za Uralem. Końcowe litery poszczególnych linijek były lekko zgrubione, i czytając pionowo, otrzymywało się słowa "wieczne niewolnice". Jeżeli taki list przypadkowo trafił do mnie (odwiedziłem człowieka, który go otrzymał, przecie nie wiedząc nic o liście) - to ileż innych, podobnie zamaskowanych oznak rozpaczy dotarło do osób, które nie zrobiły z nich, bo nie mogły zrobić, żadnego użytku. I, obliczając matematycznie, ile takich listów zostało nie napisanych i iluż tych, co mogli byli je napisać, umarło w nieprzyjaznych strefach Północy z głodu i przepracowania, powtarzając sobie te beznadziejne słowa: "niewolnik na wieczność"?

Matka i dwie córki, jeżeli żyją, noszą w tej chwili może wodę ze studni i matka martwi się niedostateczną porcją chleba otrzymywaną przez nie jako zapłata. Może nachodzi ją też troska o przyszłość córek. Mieszkaniec New Yorku przeniesiony do wioski w Kongo czułby się tak mniej więcej jak Bałt za Uralem: taka jest różnica w czystości, higienie i najbardziej nawet powierzchownych znamionach cywilizacji. Ci, co byli tam, potwierdzą, że nie kłamie. Matka umrze, ale córki muszą pozostać na zawsze, bo z takich deportacji nie ma powrotu. Będą musiały wyjść za mąż i zamknąć w sobie coś, co jest niezrozumiałe dla otoczenia, coś, czego nie będą zdolne przekazać swoim mówiącym po rosyjsku dzieciom.

Możliwe, że ani matka, ani córki nie odznaczały się szczególnymi zaletami. Matka chodziła z grubą książką do nabożeństwa co niedziela do kościoła, ale w domu była piekielnicą i okazywała chorobliwe skąpstwo. Córki miały w głowie tylko fatalaszki i sobotnie tańce na murawie, lubiane w ich rodzinnych stronach. Nie czytały żadnej poważniejszej książki, obce im były nazwiska Platona i Hegla, Marksa i Darwina. Wywieziono trzy kobiety, bo były kulaczkami. Ich farma miała około trzydziestu hektarów ziemi. Korzyść dla ludzkości z ich spokojnego życia na gospodarstwie była, poza pewną liczbą kilogramów wyprodukowanego sera i masła, minimalna. Powstaje pytanie: wolno czy nie wolno zniszczyć trzy takie istoty w imię wyższych celów? Murti-bingiści odpowiadają, że wolno. Chrześcijanie i pseudochrześcijanie, że nie wolno. Ani jedni, ani drudzy nie są całkowicie konsekwentni. Dziewięćdziesiąt procent argumentów, używanych przez murti-bingistów w ich propagandzie zwróconej do szerokich mas, powołuje się na krzywdę człowieka. Na dnie ich emocjonalnych sloganów zawsze tkwi apelowanie do moralnego oburzenia. Chrześcijanie twierdzą, że nie należy nikogo krzywdzić, bo każdy człowiek jest cenny, ale wygłosiwszy tak piękną opinię nie kiwną już palcem, żeby mu pomóc. Nie tylko nie obchodzi ich los Bałtów, ale są obojętni na inne rodzaje zniszczenia niż oblawy i przymusowe wysyłki. Na przykład śmierć duchową szerokich mas, w dzień ciężko pracujących, wieczorem skazanych na truciznę kina i telewizji, uważają za rzecz całkiem normalną.

Pablo Neruda, wielki poeta Ameryki Łacińskiej, pochodzi z Chile. Tłumaczyłem wiele jego wierszy na polski. Cieszyłem się, kiedy udało mu się uciec z rodzinnego kraju przed aresztowaniem. Pablo Neruda jest komunistą. Wierzę mu, kiedy pisze o nędzy swojego ludu, i cenię go za jego wielkie serce. Ponieważ Neruda, pisząc, myśli o swoich braciach, a nie o sobie, dana mu jest w nagrodę potęga słowa. Kiedy jednak przeciwstawia obłudowi świata kapitalistycznego szczęśliwe, radosne życie ludzi Związku Sowieckiego, przestaję mu wierzyć. Wierzę mu, dopóki pisze o tym, co wie. Przestaję wierzyć, kiedy zaczyna pisać o tym, co ja wiem. Oto jest rozbieżność pomiędzy wyznawcami ze Wschodu i wyznawcami z Zachodu. Komunista z Zachodu potrzebuje wizji złotego wieku, który już realizuje się na ziemi. Murti-bingista ze Wschodu dokłada wszelkich starań, aby tę wizję w umysłach ugruntować, ale nie zapomina, że jest to użyteczne kłamstwo. Rozumowanie jego jest poprawne. Różne rewolucje znały momenty terroru zastosowanego wobec przeciwników nowego porządku. Nikt dzisiaj nie płacze nad francuskimi arystokratami, których głowy spadły na gilotynie. Dotychczasowe rewolucje były jednak drobnymi wydarzeniami w porównaniu z rewolucją, jaka dzisiaj się dokonuje. Zmierzają one do obalenia nielicznej klasy, stojącej w poprzek dążeniom twórczym i sztucznie hamowanych sił. Dzisiejsza rewolucja nie może się zadowolić chwilą terroru potrzebną do utrwalenia nowej władzy. Walka klasowa trwa, dopóki ekonomiczna podstawa, na której może opierać się wróg klasowy, nie zostanie usunięta: przedmiotem działania rewolucji są wielomilionowe masy drobnych wytwórców, to

jest chłopów i rzemieślników, jak również prywatnych sprzedawców usług. Stały opór ze strony tych mas, krnąbrność ich psychiki korzystającej z każdej okazji, aby odradzać dawne formy gospodarki, wymaga stanowczych środków. Należy do tego dodać, że rewolucja zwyciężyła w kraju zacofanym i że w każdej chwili, od roku 1917, grozi regresja, czy to w postaci wewnętrznego rozkładu, czy zbrojnej interwencji z zewnątrz. Zrozumiałe jest więc, że chwila terroru dawnych rewolucji rozciąga się w rewolucji Największej na długie dziesiątki lat. A gdzie jest terror i nędza, nikomu nie może być dobrze. Złoty wiek należy do przyszłości. Centrum obwieściło, że jest już na etapie zrealizowanego socjalizmu i dąży do następnego etapu, to jest komunizmu. Trzeba więc oczekiwać nowego etapu. Moment obecny, oglądany z dystansu, na przykład z roku 2950, wyda się równie krótki, jak nam wydają się lata terroru rewolucji francuskiej, a liczba dwustu czy trzystu milionów ofiar nie wzbudzi większego zainteresowania niż ileś tam tysięcy francuskich arystokratów.

Wyobraźmy sobie spotkanie dwóch przekonanych zwolenników Centrum (opis opieram na starannej obserwacji podobnych spotkań). Jeden z nich pochodzi ze Wschodu. Ma za sobą trzy lata spędzone za bramami więzień i obozów pracy przymusowej tam. Nie załamał się i nie zmienił swoich przekonań. Jakkolwiek był niewinny, uważał, że gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą, i że mniejszy czy większy procent niewinnych wśród jego współwięźniów nie dowodzi niczego: lepiej jest skazać dwudziestu niewinnych niż wypuścić jednego szkodnika. Przetrzymanie zwycięsko tej próby jest źródłem siły moralnej dla niego i szacunku, jakim cieszy się wśród kolegów z Partii. Wie on, że kraj, który poznał dobrze od strony maszynierii ukrytej za sceną, jest padołem nędzy i zgrzytania zębami. Jednak pewność historycznej konieczności i wizja odległych owoców jutra sprawiają, że rzeczywistość istniejąca w ciągu kilku dziesiątków lat nie wydaje mu się szczególnie ważna. Drugi jest komunistą zachodnim. Uwaga jego jest zwrócona przede wszystkim ku nieprawościom ustroju, w którym żyje. Pelen jest szlachetnego oburzenia i tęsknoty do realizacji odbywającej się tam, skąd przyjeżdża jego towarzysz. Towarzysz patrzy na niego życzliwie i słowa, jakie wypowiada, ściśle odpowiadają oczekiwaniom. Czasem tylko w oczach ukaże się ledwie dostrzegalna iskierka humoru. To jest ludzkie, nie można mieć do niego o to pretensji. Humor jest lekko zaprawiony zawiścią. Moralne oburzenie i entuzjazm tamtego są już dla niego nieosiągalnym *luksusem* moralnej wygody. Gdyby człowiek, który z nim rozmawia, *wiedział*, gdyby przeżył to co on, jak by wyglądała jego wiara? Doświadczenie wykazało, że większość tych zachodnich nie wytrzymuje nerwowo dłuższego pobytu w Centrum. Dawka jest dla nich za mocna. Mogą być bardzo użyteczni jako misjonarze wśród pogan albo wtedy, gdy ich kraj jest zajęty przez armię wyzwalającą. Kiedy nie ma odwrotu, ich wewnętrzne wątpliwości nie zrobią już sprawie większej szkody.

Wspomniałem o Nerudzie. Zagadnienie Bałtów jest dziesięć razy ważniejsze dla każdego współczesnego poety niż sprawy stylu, metryki i metafory. Jedyną poezją godną tej nazwy jest dzisiaj poezja eschatologiczna, to jest taka, która zaprzecza dzisiejszemu nieludzkiemu światu w imię wielkiej przemiany. Czytelnik szuka nadziei i nie dba o poezję, która pojmuje to, co go otacza, jako *stałe*. Jeżeli ktoś jest obdarzony tym bliżej nie zbadanym wewnętrznym ładunkiem, jaki nosi nazwę poezji - nie zdoła się oprzeć powszechnemu oczekiwaniu i będzie szukał, przewracając się, wstając, znów padając i dźwigając się na nowo, bo wie, że taki jest jego obowiązek. Poezja rewolucjonistów stoi na ogół wyżej artystycznie niż poezja artystów kameralnych, bo treść bliska pragnieniom ludzkim wyzwala słowa z powijaków przejściowej literackiej mody. Słabość poezji rewolucyjnej pojawia się tam, gdzie zaczyna ona sławić upragnioną przyszłość jako już dokonaną czy dokonującą się w części kuli ziemskiej. Trudność aprobaty nie polega na tym, że "pozytywne" wartości są sprzeczne z samą zasadą literatury. Trudność aprobaty polega na tym, że aby aprobata była skuteczna, musi być oparta na prawdzie. Niezgodność słów z rzeczywistością mści się, nawet jeżeli autor działa w dobrej wierze. Sentymentalizm, to jest takie eksploatowanie uczuć, że stają się one celem samym w sobie, w oderwaniu od przedmiotu, który je spowodował, nie prowadzi do dobrego pisania. Rzeczywistość sprawdza literaturę prędzej czy później. Przemysłne sposoby całkowitego izolowania się od rzeczywistości, praktykowane przez pisarzy murti-bingistów, są zastanawiające. Znany jest mi poeta, który po pakcie Mołotow-Ribbentrop i wybuchu drugiej wojny światowej znalazł się w jednym z miast zajętych przez Armię Czerwoną. Poeta bardzo bał się, bo w mieście przeprowadzano liczne aresztowania i coraz to ubywało ktoś z jego przyjaciół i znajomych. W panice zasiadał do pracy i spod jego pióra wychodziły pogodne poematy, przedstawiające błogosławieństwa pokoju i entuzjazm socjalistycznego budownictwa. Zapamiętałem wiersz, w którym pochwalał "szczęśliwe, zamożne kolchozy" Ukrainy sowieckiej. W kilka miesięcy później, kiedy armia niemiecka rozpoczęła inwazję, ludność "szczęśliwych, zamożnych kolchozów" witała Niemców jako oswobodzicieli spod jarzma i dopiero bezmyślne okrucieństwa zdobywców przekonały ją, że była w błędzie. Co nie jest żadnym argumentem przeciwko ustrojowi: parę dziesiątków lat jest zbyt krótkim okresem wychowawczym. Jest to natomiast argument przeciwko wierszom poety.

Dwoistość miar etycznych, stosowanych do tego, co dzieje się poza Imperium i w jego granicach, uniemożliwia uczciwą literaturę. Rozumowanie dialektyczne może być zupełnie w porządku, ale sztuka

nie rodzi się z rozumowania dialektycznego: czerpie ona ze znacznie głębszych i bardziej pierwotnych pokładów, złożonych w człowieku przez pokolenia. Ten fakt może być nie na rękę rządcom-filozofom, którzy by chcieli widzieć literaturę czysto dialektyczną, karmiącą się zrozumieniem historycznych procesów. Niemniej to, co nagradzają jako literaturę, jest tylko jej pozorem. Uczucia wciśnięte przemocą pod powierzchnię zatruwają całe dzieło i nadają mu połysk fabrykatu. Ten połysk ostrzega odbiorcę: uwaga, produkcja seryjna. Najszlachetniejsze słowa mają wtedy martwość ornamentu.

Przypuśćmy, że uznajemy niezbędność terroru w okresach rewolucji i że Bałtowie, jako grupa antyrewolucyjna, powinni być w niezbędnym stopniu zniszczeni. Zaraz jednak powstaje wątpliwość, czy można stawiać znak równania pomiędzy terrorem chwilowym, improwizowanym, i terrorem trwającym długo. Nie wiadomo, czy oglądając z perspektywy tysiącleci wypadki naszego wieku, ktoś uzna gilotynę i wywózki całych grup narodowościowych, praktykowane w ciągu kilkadziesiątu lat, za zjawiska tożsame. Rok i dziesięć lat nie równają się sobie. Element czasu zmienia jakość czynów. Terror uprawiany długo wymaga stałego aparatu i zyskuje trwałość instytucji. Wywiezieni mogą chcieć uciekać. Krewni wywiezionych nie są bynajmniej zachwyceni i wskazane jest włączyć ich na następną listę. Rodziny krewnych są elementem niepewnym i można je utrzymać w ryzach tylko przy pomocy strachu, że spotka je podobny los. Ponieważ chłopci, z których uczyniono siłą pracowników kołchozów, pracują niechętnie i są raczej obojętni na zyski nie płynące do ich kieszeni, zachętą może być tylko strach. Strach jest zresztą cementem społeczeństw znanym od dawna. W gospodarce liberalno-kapitalistycznej strach przed brakiem pieniędzy, przed utratą pracy, przed zejściem o szczebel niżej na drabinie społecznej popychał człowieka do wysiłków. Tutaj jednak pojawia się strach *nagi*. W mieście kapitalistycznym, liczącym sto tysięcy ludności, na przykład dziesięć tysięcy mogło przeżywać strach z powodu bezrobocia czy możliwości utraty pracy. Ten strach przedstawia się im jako sytuacja indywidualna, tragiczna z powodu obojętności i nieczułości otoczenia. Jeżeli jednak sto tysięcy ludzi żyje stale w strachu, wytwarzają oni aurę zbiorową, która ciąży nad miastem jak wielki obłok. Złoto alienuje człowieka od niego samego, czyni go karłem. Nagi strach postawiony na miejscu kapitału alienuje człowieka nie mniej, a nawet znacznie bardziej skutecznie.

Przeciwko władzy strachu przewidziane są środki: wychowanie nowego człowieka, dla którego praca przestałaby być przekleństwem Adama, a stała się radością i dumą. Olbrzymia literatura służy temu celowi. Pisma, książki, film, radio mają za temat zarówno tę przemianę człowieka, jak budzenie nienawiści do wrogów, którzy by tę przemianę chcieli uniemożliwić. W miarę jak człowiek będzie uczył się wykonywać swoje obowiązki względem społeczeństwa dobrowolnie i z radością, dawki strachu będą zmniejszane. Tak narodzi się wreszcie człowiek wolny.

Czy narodzi się przy użyciu stosowanych metod, jest kwestią wiary. Jeżeli wszystko na świecie jest poddane rozumowo poznawalnym prawom, jeżeli wolność jest niczym więcej niż zrozumieniem tej powszechnej racjonalnej konieczności, jeżeli człowiek zdolny jest osiągnąć pełną świadomość, dla której to, co konieczne, i to, czego powinno się chcieć, są jednym i tym samym - wtedy nowe wolne społeczeństwo jest możliwe w przyszłości. W tym znaczeniu komunista, który spędził trzy lata w więzieniach i obozach pracy przymusowej, był wolny, ponieważ środki zastosowane wobec niego i jemu podobnych uważał za racjonalne i konieczne. W tym też znaczeniu mają rację pisarze demokracji ludowych, kiedy twierdzą, że człowiek wolny *już* narodził się, a jest nim człowiek sowiecki. Jeśli jednak świadomość boska (dla bóstwa nie istnieje wybór, bo nie potrzebuje wybierać, kto widzi wszystko jasno) nie jest człowiekowi dostępna, zawsze pewna część ludzi dokona wyboru błędnego z punktu widzenia rządzących filozofów, a osłabienie napięcia strachu będzie grozić przewrotem. Nagi strach więc będzie równie mało skłonny do dobrowolnej abdykacji jak Kapitał. Młody człowiek w Moskwie, urodzony i wychowany w nowym ustroju, jest na złej drodze, kiedy dokonuje wyboru i sięga po Dostojewskiego, który podobny dylemat rozwiązywał pesymistycznie.

Tymczasem jest jednak sprawa Bałtów. Postępowanie w stosunku do nich nie jest bynajmniej bezmyślnym okrucieństwem. Los ich jest dokładnie taki sam jak innych narodów mieszkających w granicach Związku. Nie widać powodów, aby miano ich traktować inaczej. Jaskrawość wypadku polega na tym, że zostali nagle włączeni i że byli zupełnie nieprzygotowani do nowych warunków, bo nie przeszli przez żadne stadia pośrednie. Poza tym stali znacznie wyżej cywilizacyjnie niż reszta obywateli i, nie będąc Słowianami, mają trudności w uczeniu się języka rosyjskiego (widziałem w filmie sowieckim małą Estonkę recytującą wiersze Puszkina; jej wymowa była bardzo śmieszna). Niewątpliwie różnice narodowościowe są tutaj poważnym problemem.

Z chwilą osiągnięcia zwycięstwa i stadium socjalizmu na całej kuli ziemskiej narody mają stopniowo przestać istnieć; wytworzyć się ma jeden język uniwersalny, który, jak powiada On, nie będzie ani rosyjskim, ani niemieckim, ani angielskim, a raczej stopem różnych języków. Można przypuścić, że zanim się to dokona, na znacznych obszarach globu przyjmie się już język rosyjski, który zresztą będzie później stanowił podstawę nowego języka uniwersalnego (mówi się przecież, że francuski był językiem feudalizmu, angielski językiem kapitalizmu, a rosyjski jest językiem socjalizmu). Istnienie narodów nie nadaje się do racjonalnego uzasadnienia, natomiast w obecnej fazie należy się z nim liczyć jako z

faktem. Wskazane jest popieranie rozwoju kultur narodowych, w tym jednakże tylko stopniu, w jakim to przygotowuje przejście do dalszej fazy. Co zbliża kulturalnie dany naród z narodem rosyjskim, godne jest opieki. Również godne jest opieki wszystko, co sprzyja utrwaleniu ustroju. W dziedzinie naukowej można nawet zachęcać narody do współzawodnictwa, pod warunkiem, że szacunek dla prymatu nauki rosyjskiej będzie zachowany (w jednej z demokracji ludowych odradzono delikatnie grupie uczonych publikację wyników ich działań naukowych, gdyż wyniki te były zbyt dobre i mogłoby to robić wrażenie konkurencji z nauką rosyjską na tym polu). Stale trzeba mieć przed oczyma cel odległy, to jest stopienie się narodów w jedną całość. Z tego względu nacjonalizm zasługuje na bezwzględne tępienie. Nacjonalizm można określić jako przeświadczenie, że kultura narodowa polega na "narodowej treści w narodowej formie", podczas gdy wiadomo jest, że treści kultur narodowych była dotychczas zawsze klasowa. Przeciwnieństwem nacjonalizmu jest formuła "kultura narodowa w formie, socjalistyczna w treści", a ponieważ naród rosyjski dokonał rewolucji i ustalił wzory kultury socjalistycznej, czerpiąc ze swojego dorobku, nacjonalizm można też krótko określić jako antyrosyjskość. Mniejsze grupy narodowościowe, jeżeli chorują na antyrosyjskość, da się likwidować w całości (np. z powodzeniem dało się wywieźć z Półwyspu Krymskiego cały naród Tatarów krymskich). Jeżeli chodzi o większe narody, proces walki z antyrosyjskością jest rozłożony na długie etapy. Na Ukrainie można odnotować znaczne sukcesy. Coraz więcej młodych pisarzy ukraińskich przenosi się do Moskwy i pisze po rosyjsku. Poeci i krytycy ukraińscy, którzy chcieli tworzyć *odrębną* literaturę ukraińską, już nie żyją. Nie żyją też aktorzy, którzy byli dumni z narodowego teatru i posunęli się zbyt daleko, chcąc współzawodniczyć z teatrem rosyjskim. W krajach bałtyckich rzecz jest na jak najlepszej drodze. Co do demokracji ludowych, to schemat zastosowany jest inny i długofalowy program, realizowany z powodzeniem, jest modyfikacją doświadczeń zrobionych już dawniej.

Zadanie jest trudne, bo poszczególne narody są obciążone własną przeszłością i skłonne uważać za swoją - kulturę klas posiadających, na przykład narody bałtyckie - kulturę swoich kulaków. Przeciwnieństwem tej kultury jest kultura rosyjskiej. Jak można jednak porównywać! Naród rosyjski jest wielkim narodem; nosił on w swoim łonie rewolucję, jak matka nosi płód. Jego przeszłość, brzemienne w największe dokonanie w dziejach, tylko bluźnierca zechce porównywać z przeszłością narodów, które zostały przez naród rosyjski wyzwolone. Naród rosyjski jest zbawcą świata.

Żadnych okrucieństw się nie popełnia. Zabija się tych, których trzeba zabić, torturuje się tych, od których trzeba zdobyć zeznania, deportuje się grupy, które trzeba deportować. Jeżeli łatwo giną przeniesieni w obce sobie warunki, to wina klimatu, ciężkiej pracy i niedostatecznego odżywiania - a tego nie można zmienić na obecnym etapie. Trudno żądać, żeby kraj, który dźwiga na sobie tak wielkie posłannictwo, zaopatrywał swoich więźniów tak jak Anglia swoich żołnierzy. Możliwe, że nie umieraliby wtedy tak prędko, ale ich praca przestałaby się opłacać. A zresztą zanim żywność dotrze do więźniów, administracja obozów ją rozkradnie. Wszystko zmieni się, kiedy stopa życiowa się podwyższy. Wtedy i więźniom będzie lepiej.

Wywód powyższy nie jest pozbawiony godnej podziwu dalekowzroczności. Narody Europy Środkowej i Wschodniej były nacjonalistyczne do szaleństwa i gotowe masakrować się wzajemnie, byle zdobyć od swego sąsiada skrawek terytorium. Dzisiaj widzą, jakie to było nierozsądne (co zresztą prawdopodobnie nie powstrzymałoby ich od skoczenia sobie nawzajem do gardła, gdyby znikła kontrola Centrum). Pod rządami Centrum godzą się na wzajemne ustępstwa: Polacy ustąpili swoje terytoria wschodnie, Niemcy zaakceptowali linię Odra-Nysa, Czesi i Węgrzy nie roszczą już pretensji do Rusi Zakarpackiej. W republikach znika zagadnienie mniejszości, wszystkie one przejmują jednolity wzór gospodarczy i kulturalny z Centrum i rzeczą, która je różni, jest jeszcze język. Trudno zaprzeczyć słuszności wielkiego planu.

Jedynym kłopotem jest pacjent, który wyrywa się i krzyczy. Flaubert w *Madame Bovary* opisuje operację "*pied bot*", przeprowadzoną przez doktora Bovary. Ten prowincjonalny lekarz do spółki ze swoim przyjacielem, aptekarzem Homais, postanowił uleczyć posługacza z miejscowej oberży, który był kulawy. Po wielu trudach dało się go namówić, aby poddał się zabiegom. Doktor Bovary obłożył się podręcznikami medycznymi i na jego polecenie skonstruowano drewnianą skrzynkę wagi ośmiu funtów, zaopatrzoną wewnątrz w żelazne haki, śruby i skórzane siodełka. Operacja udała się znakomicie, po czym nogę zaśrubowano w skrzynkę. "Chwała! Po trzykroć chwała! - wykrzykiwał miejscowy dziennik. - Oto okazja, aby zawołać, że ślepi przejrzą, a kulawi będą chodzić! Ale co niegdyś fanatyzm obiecywał swoim wybrańcom, to nauka zapewnia dzisiaj wszystkim ludziom!" Niestety po pięciu dniach z pacjentem zaczęło dziać się coś niedobrego. Ryczał z bólu. Otworzono skrzynkę i stwierdzono, że noga jest spuchnięta i pokryta wrzodami. Dwaj przyjaciele zdecydowali, że widocznie zaśrubowana była za słabo. Przykręcono śruby. A jednak pacjent miał się coraz gorzej. Lekarz wezwany z sąsiedniego miasteczka stwierdził gangrenę i nogę amputował. Oczywiście Flaubert był złośliwcem i wyszydzał kult postępu pana Homais. Nie oznacza to bynajmniej, że operacje przeprowadzane przez dobrych lekarzy nie mogą się udać. Zawsze jednak pozostaje wątpliwość, czy lekarz, z którym mamy do czynienia, jest lekarzem dobrym.

"To wszystko jest właściwie nudne - powiedział mi dygnitarz jednego z krajów demokracji ludowej. - Widziałem to już w Rosji. Etapy są z góry wymierzone i następują po sobie z matematyczną dokładnością. Jedyne, co jest ciekawe, to jak reaguje ludzki materiał".

Ludzki materiał zdaje się mieć szczególną cechę: nie lubi, kiedy go się uważa tylko za ludzki materiał. Poczucie, że trzeba się całkowicie poddać posunięciom ustalonym w Centrum i pozbyć się jakiegokolwiek wpływu na zmiany, łatwe co prawda do logicznego wytłumaczenia *ex post*, ale zawsze zaskakujące - jest dla materiału ludzkiego trudne do zniesienia.

System parlamentarny może być w wielu wypadkach fikcją, zapewniającą władzę zawsze tym samym grupom społecznym. Niemniej możliwość pójścia do urn wyborczych i złożenia swego głosu przeciwko komuś ma wartość ożywcze go toniku. Również udział w manifestacji wymierzonej przeciwko ministrowi, akcja strajkowa czy czytanie prasy opozycyjnej dostarczają chwil emocjonalnego wyładowania, prawdopodobnie bardzo potrzebnych. Duma narodowa może być uczuciem absurdalnym, ale дума koguta spacerującego po własnym podwórku między kurami, nie mniej absurdalna, jest biologicznie użyteczna. Zrozumieniu motywów psychologicznych trzeba przypisać środki oddziaływania na masy, zastosowane przez rządzące Centrum. Olbrzymie pochody, sztandary, portrety wodzów; propagandę w czasie wyborów, która z punktu widzenia zdrowego rozsądku jest wyrzucaniem pieniędzy, bo jest jedna lista i wynik jest z góry przewidziany; manifestacje nienawiści do wrogów. Również дума narodowa jest wzięta pod uwagę: służyć jej mają narodowe sztandary, codziennie podawane wiadomości o osiągnięciach gospodarczych czy kulturalnych kraju, nowych gmachach, szosach, kolejach i pomyślnym wykonaniu planów produkcyjnych. Działanie jest skuteczne dzięki powtarzaniu tych samych haseł. Brak jest jednak jakiegoś nieuchwytnego elementu i materiał ludzki jest dręczony przez poczucie *fikcji*. Nic nie jest *spontaniczne*. We własnej pracy zawodowej można uzyskać słuszną dumę. Kiedy jednak sięga się dalej, wszystko jest zdeterminowane. Już nazajutrz może gdzieś w górze zapaść decyzja usuwająca cały rząd, przesuwająca granice kraju - czy też pojawić się nakaz, że należy nienawidzić tych, których wczoraj uważało się za przyjaciół. Ujścia dla dumy narodowej są widocznie niedostateczne, skoro stan umysłów Estończyków, Litwinów, Łotyszów, Polaków, Czechów, Węgrów, Rumunów i Bułgarów usprawiedliwia przypuszczenie, że od zarzynania każdego Rosjanina, jaki nawinie im się pod rękę, powstrzymuje ich tylko strach; i można sądzić, że również kadry partyjne tych krajów nie odmówiłyby sobie tak dużej przyjemności. Można ubolewać nad zacofaniem tych narodów i wyrażać nadzieję, że wychowanie socjalistyczne to zmieni. Nie należy jednak zamykać oczu na przykrą rzeczywistość. Co gorzej, dałoby się podobne przypuszczenia snuć o narodach cierpliwie i od znacznie bardziej dawna wychowywanych.

Włączenie krajów bałtyckich dla mieszkańca Chile czy Meksyku wyda się incydentem bez znaczenia. Co innego dla wielomilionowych mas ludności demokracji ludowych. Od szeregu lat rozważają one w myślach ten niezwykle bądź co bądź postęp wielkiego mocarstwa, znajdujący analogię tylko w polityce państw kolonialnych. Jeżeli wielki Związek jest federacją i może wchłonąć dowolną liczbę republik, to kiedyś musi przyjść kolej na inne kraje. Jeżeli to, co tam się stało po włączeniu, ma być *prefiguracją* rzeczy, które nastąpią, to należy oczekiwać masowych deportacji i zasiedlania miast i wsi przybyszami z głębi euro-azjatyckiego kontynentu. Moment taki przedstawia się świadomości obywateli krajów, o których propaganda lubi mówić jako o suwerennych, jako Sąd Ostateczny. Włączenie krajów bałtyckich stało się poważnym czynnikiem psychologicznym. Sporządzając swój codzienny rachunek słów i uczynków, obywatel mierzy je nie tyle doraźną ich użytecznością, ile tym, jak mu będą one poczytane w przyszłości, w owym decydującym dniu.

Mój przyjaciel, który ostrzegał mnie przed gniewem Zeusa, jest filozofem. Pędzi życie wśród książek i wie, że niezależnie od drżenia materiału ludzkiego nie zabraknie mu pięknych wydań Lukrecjusza drukowanych w Moskwie. Im bardziej będzie rosła Wielka Budowla, tym więcej będzie pojawiać się wydań klasyków i człowiek mądry, gardzący nędzną współczesną literaturą, zgarnie zawsze wiele słodyczy z historii filozofii, z dawnych pisarzy i ze skomplikowanych a pasjonujących studiów nad materializmem dialektycznym. W istocie nie może być nic lepszego dla filozofa, niż żyć w kraju rządzonej przez ludzi, w porównaniu z którymi prezydenci, królowie i premierzy minionej ery byli zaledwie improwizatorami. Każdy dzień upływa mu na wyczerpanej pracy umysłowej, a kiedy spotyka się z podobnymi sobie, wie, że są to uczeni, którzy nie marnują czasu i czerpią jak on z krynicy dialektyki. Spotkania tych ludzi nie mają w sobie nic z bezpłodnych i nieobowiązujących dywagacji inteligentów. Są to spotkania naukowców społecznej budowy. Mój przyjaciel nie wierzy w "filozofowanie". Człowiek jest zwierzęciem społecznym, a jego myślenie jest odbiciem ruchu materii. Poszukiwacze prawdy są pajacami, tym bardziej godnymi pogardy, że usiłują zaprzeczać, jakoby to, co myślą, było tylko odbiciem historycznych procesów. Są to reakcjonisci, gdyż służą interesom wrogim proletariatu, który, dźwigając się, z nieuniknioną koniecznością wytworzył jedynie słuszną metodę dialektycznego materializmu. Zwycięstwo Związku Sowieckiego jest równie pewne, jak pewne jest to, że drzewa wypuszczają liście na wiosnę. Człowiek, który zrozumiał konieczność, jest szczęśliwy i wolny, bo poza zrozumieniem konieczności wszelka inna wolność jest iluzją. Mój przyjaciel sądzi, że ci, którzy cierpią

w nowym ustroju, są sami sobie winni. Ludzie, którzy są przedmiotem aresztowań i deportacji, to głupcy i nie należy ich żałować. Ich obciążenie przeszłością jest tak wielkie, że niezdolni są zrozumieć praw rozwoju. Gdyby zrozumieli, nie spotkałoby ich nic złego i życie ich byłoby twórcze i pogodne.

Mój przyjaciel lubił mnie, bo widział we mnie wielki wstręt do burżuazji, to jest do mentalności tępej i zamglonej, dla której nie istnieją ostre obrazy zjawisk ujmowanych w ich ruchu. Nie mylił się, przypisując mi wewnętrzny płomień, który przez całe moje życie był przyczyną moich cierpień. Zawsze tęskniłem do człowieka, który by był twardy, jasny i czysty, a patrząc na człowieka, jakim jest, odwracałem oczy ze wstydem i odwracałem ze wstydem oczy od siebie, bo byłem do niego podobny. Cała moja poezja była *odrzucaaniem*, pogardą dla siebie i innych za to, że cieszą się tym, co jest niegodne kochania, boleją nad tym, co jest niegodne bólu. Czyż więc nie należałem przez to samo do nowych budowniczych świata, którzy mają wizję człowieka o nadczłowieczej czystości? Byłem na pewno "dobrym poganinem", bo moja zaciekleść była zaciekleścią bolszewików. Wszędzie poza krajami, które realizują nowego człowieka, musiałem poczuć się bezdomny.

Posiadałem zadatki prawdziwego szczęścia. W odbudowywanej po wojennych zniszczeniach Warszawie pracowałem w zgodzie z prawami Historii, sięgając wzrokiem w odległą przyszłość. Tłumaczyłem Szekspira - jakąż rozkoszą jest przełamywać opór języka i znajdować zdania równie zwarte jak zdania oryginału! Przeprowadzałem marksistowskie badania nad historią Anglii szesnastego wieku. Zostałem też, być może, profesorem uniwersytetu. Od czasu do czasu ogłaszałem wiersze świadczące o moim przywiązaniu do Rewolucji i jej twórców. Zajmując się dialektyką i przebywając w kręgach filozofów, mógłbym zresztą z dużą dozą lekceważenia traktować wysiłki literatów, muzyków i malarzy, wiedząc, że sztuka przez nich stworzona jest zła i nie ma na to rady. Słuchałem Bacha i czytałem Swifta czy Flauberta.

A jednak zawiodłem mego przyjaciela. To, co mnie do tego skłoniło, jest dla mnie samego trudne do rozwikłania.

Gdybym to umiał zrobić, byłbym mędrce i mógłbym słusznie zostać nauczycielem filozofów. Myślę, że moje podświadome motywy sięgają daleko wstecz, do pewnego zdarzenia, które opiszę. W moich wędrówkach w początkach drugiej wojny światowej zdarzyło mi się, co prawda na bardzo krótko, być w Związku Sowieckim. Czekałem na pociąg na stacji jednego z wielkich miast Ukrainy. Był to olbrzymi gmach. Ściany były pokryte portretami i transparentami niewymownej brzydoty. Gęsty tłum w kozuchach, mundurach, czapach z uszami i wełnianych chustkach zapełniał każdą wolną przestrzeń i rozgniatał grubą warstwę błota na posadzkach. Marmurowe schody pełne były śpiących nędzarzy; ich nagie nogi wyglądały z łachmanów, chociaż była to zima. Z góry nad nimi głościki ryczały propagandowe hasła. Przechodząc, zatrzymałem się, nagle czymś tknięty. Pod ścianą umieszczała się rodzina chłopów: mąż, żona i dwoje dzieci. Siedzieli na koszykach i tobołach. Żona karmiła młodsze dziecko, mąż - o ciemnej, pomarszczonej twarzy, z opadającymi czarnymi wąsami, nalewał herbatę z czajnika do kubka i podawał starszemu synowi. Mówili ze sobą przyciszonymi głosami po polsku. Patrzyłem na nich długo i nagle poczułem, że łzy płyną mi po policzkach. I to, że właśnie na nich zwróciłem uwagę w tłumie, i moje gwałtowne wzruszenie były spowodowane ich zupełną *innością*. Była to ludzka rodzina, jak wyspa w tłumie, któremu czegoś brakowało do zwyczajnego, małego człowieczeństwa. Gest ręki nalewającej herbatę, uważne, delikatne podanie kubka dziecku, troskliwe słowa, które raczej odgadywałem z ruchu ust, ich odosobnienie, ich prywatność w tłumie - oto co mną wstrząsnęło. Zrozumiałem wtedy na sekundę coś, co znowu zaraz uciekło.

Polscy chłopcy na pewno nie stali na szczytach cywilizacyjnego rozwoju. Być może ci, których oglądałem, byli analfabetami. Mój przyjaciel powiedziałby zapewne, że są to ohydni, śmierdzący głupcy, których trzeba nauczyć myśleć. Ziarno jednak, jakie w nich czy w Bałtach, czy w Czechach się zachowało, mogło się zachować dlatego, że nigdy nie poddawano ich jeszcze leczeniu metodą pana Homais. Nie jestem pewien, czy czułość, z jaką kobiety bałtyckie pielęgnowały swoje ogródki, zabobonność polskich chłopów zbierających różne gatunki ziela o czarodziejskiej mocy, zostawianie pustego talerza dla podróżnego przy wigilijnej wieczerzy - nie są zadatkami dobrych sił, które mogą być rozwinięte, i czy zasypywanie ziaren kamieniami nie prowadzi do wyników, o które trzeba zapytać kobiety niemieckie, które przeżyły rok 1945 w Berlinie. Dla kół, w których przebywa mój przyjaciel, przypuszczenie, że człowiek jest tajemnicą, brzmi jak najgorsza obelga. A przecież chcą wykuć nowego człowieka - ale tak jak rzeźbiarz wykuwa postać z bryły kamienia, odłupując to, co zbyteczne. Wydaje mi się, że się mylą. Że ich wiedza, przy jej całej doskonałości, jest niedostateczna, i że prawo życia i śmierci, które dzierżą w swoich rękach, jest uzurpacją.

Czy mogłem, będąc po stronie belkotu i mamrotania, którymi wyrażają się bezradne i przejmujące tęsknoty ludzkie, chodzić po miękkim dywanie swego mieszkania, w dzielnicy uprzywilejowanych, i delektować się Szekspirem? Zamiast ręki, którą gorąca krew płynie od serca do palców trzymających pióro, dano by mi znakomitą protezę dialektyki. Widząc, że w człowieku jest światło, nigdy nie mógłbym po to światło sięgnąć, bo światło to nie jest, jak wierzę, równoznaczne ze świadomością socjalistyczną i przebywa również w głupcach, zakonnikach, chłopcach stroniących od pracy społecznej

i kulakach. Wiedząc, że w człowieku jest zbrodnia, nie mógłbym wskazać jej palcem, bo, jak wierzy mój przyjaciel, jest ona dziełem Historii, a nie ludzi. Zamilczmy, nie umiając zapomnieć o zbrodniach minionych, o setkach tysięcy deportowanych Polaków w latach 1940-1941, o tych, których zastrzelono czy zatopiono w barkach na Oceanie Lodowatym. Trzeba uczyć się wybaczać. Idzie mi o zbrodnie, które są i które będą. I zawsze w imię nowego, wspaniałego człowieka, i zawsze wśród dźwięku orkiestr, wśród pieśni, krzyku megafonów i deklamacji optymistycznych poematów.

Teraz jestem bezdomny. Słuszna kara. Ale może urodziłem się po to, żeby przez moje usta przemówili "niewolnicy na wieczność"? Dlaczegoż bym miał siebie zanadto oszczędzać i po to, aby znaleźć się w antologiach klasyków polskiego wiersza, wydawanych przez państwowy dom wydawniczy, wyrzekać się tego, co jest, być może, jedynym powołaniem poety? Mój przyjaciel akceptuje nagą siłę, nadając jej różne nazwy. Rozstaliśmy się. Nie obchodzi mnie, czy znalazłem się po stronie przyszłych zwycięzców czy zwyciężonych. Wiem jedno: jeżeli mój przyjaciel będzie spożywał słodkie owoce zwycięstwa, planeta ziemską będzie zagospodarowana planowo na długie setki lat, ale biada tym, co tego dożyją. Śpią teraz w swoich łóżkach albo oddają się kretyńskim zabawom i naprawdę każdym swoim czynem starają się zasłużyć na zniszczenie. Tylko że to, co ich zniszczy, nie wyzwoli w nich wolnego człowieka. Jeżeli mój przyjaciel będzie miał możność się przekonać, że siła, którą wielbił, nie była koniecznością, nasza planeta wejdzie w okres straszliwych wojen i krwawych rewolucji, ale poszukiwanie się nie zakończy i nadzieja zostanie zachowana.

Niech wielki poeta Ameryki Łacińskiej, Pablo Neruda, walczy o swój lud. Żle by jednak było, gdyby wszystkie głosy, które go dochodzą z Europy Środkowej i Wschodniej, uważał za objawy zamierzchłych nacjonalizmów i pisk pokrzywdzonej reakcji. Oczy, które widziały, nie powinny być zamknięte, ręce, które dotknęły, nie powinny zapominać, kiedy trzymają pióro. Niech raczy zezwolić niektórym pisarzom Europy Środkowej i Wschodniej, aby zajmowali się sprawami, które są odległe od tego, co go boli.

Kiedy, jak powiada mój przyjaciel z Warszawy, stanę przed Zeusem (niezależnie od tego, czy zginę naturalną śmiercią, czy osiągnięty wyrokiem Historii), to mniej więcej będę mógł podać na swoje usprawiedliwienie. Wielu ludzi strawiło swoje żywoty na zbieraniu znaczków pocztowych, starożytnych monet czy na hodowaniu rzadkich gatunków tulipanów. Jestem pewien, że choćby to były zabawne i bezużyteczne manie, Zeus okazałby się dla nich łaskawy, jeżeli wkładali w te zajęcia całą swoją namiętność. Powiem mu: "Nie moja wina, że stworzyłeś mnie poetą i dałeś mi dar równoczesnego widzenia, co się dzieje w Nebrasce i w Pradze, w krajach bałtyckich i na brzegach Oceanu Lodowatego. Czulem, że jeżeli czegoś z tym darem nie zrobię, wiersze moje będą dla mnie bez smaku, a sława obmierzła. Wybacz mi". I być może Zeus, który nie nazwał idiotami zbieraczy starych monet i hodowców tulipanów, wybaczy.

* "Podszedłem do portretu Stalina, zdjąłem go ze ściany i postawiwszy na stole, z twarzą w dłoniach, patrzyłem i rozmyślałem. Co powinienem zrobić? Twarz Wodza jak zawsze tak spokojna, jego oczy patrzące tak jasno dalekosiężnym spojrzeniem. Zdawało mi się, że to przenikliwe spojrzenie przebija ściany mego małego pokoju i wybiega w przestrzeń, aby ogarnąć cały glob. Nie wiem, co pomyślałby ktoś, kto by zobaczył mnie w tej chwili. Ale każdym moim słowem, każdym moim gestem, każdą kroplą krwi czulem, że w tej chwili nic dla mnie w całym świecie nie istnieje prócz tej najdroższej, ukochanej twarzy. Co powinienem zrobić? 'Rząd sowiecki rozprawia się z wrogami ludu w sposób zdecydowany...' To twoje słowa, towarzyszu Stalinie. Wierzę im święcie. Teraz wiem, jak postąpić" ("Pergale" ["Zwycięstwo"], organ Związku Literatów Litewskiej SSR, nr 4, kwiecień 1950, s. 52, cyt. "Lithuanian Bulletin", New York, nr 7-12)

w: OFICJALNA STRONA INTERNETOWA CZESŁAWA MIŁOSZA, wybór eseistyki
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak
http://www.milosz.pl/t_eseje.php